

Similaun

Wstęp

Nie ma drugiej góry w Alpach, koło której kręciłbym się tak często. Nie za każdym razem jednak szczyt ten był celem priorytetowym i pewnie dlatego stanęliśmy na wierzchołku dopiero za piątym przyjazdem do Vent.

O górze pisałem już w relacji z przejścia alpejskiego szlaku E5. Niestety relacja przepadła w czeluściach Internetu i obawiam się, że nie jest już do odzyskania. Wielka szkoda. Nawet dziś chętnie bym na jej podstawie odtworzył trasę, jaką wtedy przeszliśmy startując w Niemczech, a kończąc we Włoszech.

Kolejna relacja mogłaby powstać z kilku grudniowych dni 2015-go roku, które spędziliśmy pod Similaun. Jednak wciąż jej nie napisałem.

Następna wizyta w Vent to ta z listopada 2015, opisana [TUTAJ](#). W 2017-tym roku wyjechaliśmy tam z dziećmi. Za cele obraliśmy sobie wtedy [Wildspitze](#), zostawiając Similaun na „kiedy indziej”.



Widok ze szczytu

Lodowce w Alpach

Dopiero teraz – w lipcu 2018 – miałem okazję usiąść pod krzyżem na szczycie. Jednak to, co głównie mnie uderzyło i czym chciałem się podzielić, to porównanie stanu lodowca z tym, co widziałem w sierpniu 10 lat temu. Już wtedy mapa pokazywała, że szlak prowadzi po lodowcu. Zdziwieni, idąc skałami, obserwowaliśmy kilka zespołów na lodowcu w dolinie. Bo stary i brudny całoroczny lód był – ale znacznie poniżej szlaku. Dziś nie było już po tym lodzie nawet śladu. Tam gdzie płynęła rzeka lodu, dziś są już tylko skały. Ewentualnie gdzieś tam placek śniegu z ostatnich opadów. Dopiero na wysokości powyżej 3 tysięcy metrów wciąż utrzymuje się lód. Pytanie ile jeszcze lat przetrwa? 10? 20? Niesamowite, że tak znaczące zmiany są widoczne gołym okiem na przestrzeni kilku lat, a nie setek, czy tysięcy.



sierpień 2008



lipiec 2018



sierpień 2008



lipiec 2018



sierpień 2008



lipiec 2018

Trasa

Co do samej trasy na szczyt – przy doskonałej pogodzie, jaka nam się trafiła, można potraktować jako spacer. Brak wiatru, ciepło, dobra widoczność – przy takich warunkach można sobie

nawet odpuścić wyposażenie wysokogórskie. Lina spoczywała w plecaku, czekany przypięte do plecaka. Jedyna „uciążliwość” to mokry śnieg, który prawie każdemu nieco zmoczył buty. Lodowiec wyglądał niegroźnie. Kilka ciemniejszych punktów jakie widziałem, okazały się wystającymi spod śniegu kamieniami, a nie dziurami prowadzącymi do wnętrza czeluści lodowca.



Na grani niedaleko szczytu

Wysokość 3603 m n.p.m. osiągnięta. W bardzo dobrym czasie. Sprawdza się metoda „na spokojnie”, do której nie mogłem się przez całe górskie życie przekonać. Bez szarpania, podbiegania, pocenia. A jednocześnie utrzymywane równe tempo pozwoliło znacznie skracać czasy z tabliczek. Jak na jeden dzień – dosyć. Tym bardziej, że na tym wyjeździe nie będzie czasu na odpoczynek. Wracamy w dobrych humorach do obozu. Jak starczy sił to może jeszcze gdzieś jutro pójdziemy?

Tekst: Dziku



Szlak prowadzący do Vent. W tle Similaun i jego północna ściana – również niegdyś pokryta w całości lodem.

Mała Mojstrovka



Szlak prowadzący do miasta. W tle Similaun.



Na grani niedaleko szczytu



Widok ze szczytu

Jak już wspomniałem [link do wpisu o Ma & Mi w Alpach Julijskich – w opracowaniu], po prawie 3 latach znów mamy dziś okazję z Agą razem stanąć na szczycie. Na dodatek droga, jaką wybraliśmy sprawia nam sporo frajdy. Ale od początku:

Kolejny dzień i znów pobudka o 4-tej rano. Czy to normalne, żeby brać urlop i nastawiać budzik na tę godzinę? Tak, jeżeli chce się zdobyć górę i wrócić, zanim bobasy się obudzą. A już na pewno zanim zdążą porządnie zgłódnieć. Dlatego o 5:25 jesteśmy już gotowi do kolejnej akcji z przełęczy Vršič. Tym razem jednak naszym celem jest Mala Mojstrovka (2322 m), więc ruszamy w inną stronę doliny – w kierunku siodła Vratica. Dalej zawijamy w lewo i wzdłuż ściany podążamy po śnieżnym polu w poszukiwaniu wejścia na ferratę. Ta ścieżka to Hanzova Pot. Gęsto opisywana w Internecie więc i tym razem odpuszczę szczegóły.

Dzięki tej ferracie nauczyłem się nowego angielskiego słowa – *advisable*. Czytając opisy w Internecie przetłumaczyłem sobie w myślach zdanie „*There are a lot of steel cables and the use of a via-ferrata safety set is advisable*” jako „*jak nie będziesz miał lonży to umrzesz na śmierć*„. Po powrocie jednak sprawdziłem to raz jeszcze, ponieważ ze względu na brak opisywanych trudności lonży praktycznie nie używaliśmy. I okazało się, że słówko to oznacza „wskazany, polecany”. Z tym się zgodzę – lonżę tam należy mieć z przyczyn obiektywnych (potrącenia przez innych wspinających się, mijanki, strącanie na głowę kamienie). Jednak dla osoby, która się w życiu wspiniała i będzie tam wchodzić poza sezonem może się okazać, że lonża będzie bezużyteczna.

Agą doznaje wyjątkowej przyjemności podczas wejścia. Kontakt z ciepłą, przyjemną skałą, dobre chwytty, możliwość eksperymentowania i wchodzenia z ominięciem szlaku... to coś czego dawno nie doświadczyła. Aż żał brał, gdy na szczycie

znaleźliśmy się już po 2h10' od wyjścia z parkingu.

Podczas, gdy Aga powoli schodzi drogą przez Grebenec ja podejmuję się jeszcze wejścia na Veliką Mojstrovkę. Już po 10 minutach stoję na zworniku grani. Przede mną jedynie kilka minut, by przebyć odcinek szerokiej grani i po skałach wejść na właściwy szczyt. Odpuszczam jednak. Kilka minut tu, kilka tam, do tego zaczynam balansować na krawędzi. By dostać się w to miejsce przebiegłem przez siodło, czepiając się śniegu rękami dotarłem do skał, wspinałem się po kruszyźnie i wielkich blokach, czasem wracałem by poszukać innej drogi. Zbyt duży pośpiech, zbyt dużo śniegu, brak widocznego szlaku. Decyduję się schodzić i dogonić Agę. Zbiegam po stromym połu śnieżnym do piargów, tu wpadam w poślizg i jadę kilka metrów po skalnych płytach w dół. Obyło się bez poważnych uszkodzeń. A kiedyś się zacznę oszczędzać, ale to kiedyś.

Przy aucie jesteśmy po 3h30' od wyjścia. To dobry czas. Szczególne brawa dla Agi, która nie miała w ostatnich latach zbyt wielu okazji do wspinaczki. Jak widać, jednak nic jej nie przeszkodziło w utrzymaniu kondycji i mentalnego parcia na góry.

Prisojnik



Szlak prowadzący do miasta. W tle Similaun.



Na grani niedaleko szczytu



Widok ze szczytu

Wypad na ten atrakcyjny szczyt Alp Julijskich był częścią kolejnego rodzinnego wypadu, szerzej [opisanego tutaj](#) [link do uzupełnienia]

Prisojnik drogą przez Kopiscar Pot

W czwartek pobudka o 4-tej rano i jedziemy z Dawidem na przełęcz Vršič, by zdobyć tego dnia Prisojnik (2547 m). Wchodzimy szlakiem Kopiscar Pot, drogą pełną sztucznych ułatwień (via ferrata). Dokładnego opisu trasy sobie oszczędzę ponieważ relacji z tego bardzo popularnego szlaku jest w sieci sporo. Ja sam zresztą górę tę wybrałem zainspirowany relacją Skadi (tej na grani). I to już powinno mnie napawać lękiem, ponieważ raz już pojechaliśmy bazując na relacji Skadi. Ze szczytu wróciliśmy wtedy helikopterem.

I tym razem nie obeszło się zupełnie bez problemów. A wszystko z powodu zalegającego w żłebach śniegu. Zaznaczę, że byliśmy tam 31-go maja i byliśmy tam sami. Przebieg szlaku wcale nie był taki oczywisty, Przy pierwszym większym polu śnieżnym straciliśmy z 10 minut kręcąc się to tu, to tam i wypatrując czerwonych kropek na skałach wokół nas. Było to tuż przed wejściem na grzbiet, który od prawej strony wprowadza w trudniejsze partie ściany, gdzie zмагаć się trzeba z przewieszonym kominem oraz ciasnym przejściem pod okapem.

Przy drugim polu śnieżnym – niedaleko okna – trzeba było trochę więcej pogłótkować. Po stromym zboczu pokrytym kilkumetrową warstwą śniegu wspinałem się dwukrotnie. Najpierw

– od ostatniej widocznej na skale kropki ruszam na czuja w górę wydeptując stopnie krawędzią buta. Dochodzę do stromej skałki i wspinam się nią przez chwilę. Potem schodzę nieco, by zobaczyć czy jestem w stanie pokonać tę samą drogę na dół na wypadek wycofu. Test wypadł pozytywnie więc raz jeszcze podchodzę wyżej. Nigdzie jednak nie widzę stalowych lin i oznaczeń szlaku. W pewnym momencie uświadamiam sobie gdzie się znajdę jeśli się poślizgnę i po cichu mówię do siebie: „Dobra, starczy, ja mam dzieci”. Schodzę do Dawida, by podjąć decyzję co dalej. Spodziewam się krótkiego „wracamy” i to by wystarczyło. Jednak Dawid mówi „ustalmy sobie deadline czasowy i spróbujmy w górę”. Czemu nie? Schodząc ten stok wydał mi się mniej pochyły niż przedtem. Jakoś tak się z nim oswoiłem. Zmarznięte na kość dłonie zdążyły się rozgrzać, więc raz jeszcze wczepiamy pazury w śnieg i zdobywamy wysokość. Warto było, bo za kolejną skałą ukazują nam się druty. Jesteśmy na szlaku!

Skałami, przy samej krawędzi podchodzimy do Okna. O oknie chciałbym coś napisać. Tylko, że nie znam słów, które mogłyby ten twór właściwie opisać. Żadne zdjęcie, jakie widziałem w Internecie, ani żaden opis nie oddaje skali. Jest to coś absolutnie wyjątkowego i sam ten punkt jest wystarczającym powodem by wspiąć się na Prisojnik właśnie tą drogą.

Po wyjściu z okna kierujemy się w lewo i wspinamy się na grań. Podążamy nią do samego szczytu. Odcinek obfituje w piękne widoki, jednak sam szlak w porównaniu do ferraty jest dość nużący.

Na szczycie stajemy po 3h15' od wyjścia z przełęczy. Smak zwycięstwa osłodziła Cola, którą znalazłem na parkingu. Sam bym się wahał kupić to świństwo, ale jak sama wpada w ręce, ledwo nadpita, przez noc schłodzona... [beknięcie]

Muszę w tym miejscu dodać, że wykręciliśmy taki wynik z dużym wysiłkiem. To nie był spacer a raczej z trening z czasówką. Pewnie można było jeszcze urwać minuty, gdyby nie szukanie

szlaku pod śniegiem. Ale nie czarujmy się – w sezonie, gdy nie ma śniegu pojawiają się tam tłumy i wtedy na pewno podobny czas jest jeszcze trudniej uzyskać. Dlatego – dla bezpieczeństwa lepiej założyć takie czasy, jakie podają w opisach, czyli nawet 8-9 h na całość (uwzględniając w tym czas powrotu na przełęcz).

Na drogę zejścia wybraliśmy normalny szlak, czyli ten, który po przejściu przez okno odbijał w prawo. Całość, z „biwakami”, pobyciem na szycie i powrotem do auta zajęła nam 5h20'. Imponująco (wyłączyłem komentarze pod wpisami więc sam nas pochwałę) – brawo!

Allalinhorn

W styczniu 2017 roku podejmujemy się wyzwania zdobycia 4-tysięcznika. Nasz wybór padł na Allalinhorn. Za każdym razem, gdy jedziemy w Alpy zimą jesteśmy nastawieni, że będzie ciężko, po czym tak dostajemy wciśniętą, że decydujemy się więcej w Alpy zimą nie jeździć. Za jakiś czas zapominamy o postanowieniu i znów jedziemy i tak było i tym razem.

Galeria



Szlak prowadzący do miasta. W tle Similaun.



Na grani niedaleko szczytu



Widok ze szczytu

Problem pojawił się już przed wyjazdem, ponieważ w dzikowej Zafirze już kolejną zimę nie działało ogrzewanie i odmrożenia mogły pojawić się jeszcze przed dotarciem na miejsce. W takim wypadku decydujemy się pojechać do Szwajcarii tomkowym Fordem Escortem. Rocznik nieznany. Takie to starutkie autko, które nie ma klimy, ale po co nam klima zimą. Ważne, że ogrzewanie jest i radiomagnetofon na kasety (edytowane 05.07.2017: sms od Tomka – *„RADIOODTWARZACZ NA KASETY? Jak mogłeś. Jakby Ford to przeczytał to by Ci nigdy nie odpalił. Nic mu nie powiem ale jutro rano i tak pewnie pozna po mojej minie że coś jest nie tak”*).

Dojeżdżamy do Saas Fee bez najmniejszych problemów. Tylko nie rozmawialiśmy i kaset nie słuchaliśmy bo auto przy większych prędkościach nieźle hałasuje. Od razu udajemy się na kolejkę od samego początku rezygnując z dobrego, czystego stylu. Ale spoko, potem będzie jeszcze gorzej. Wyjeżdżamy kolejką do górnej stacji jak zwykle budząc wątpliwości u pracowników. Pytają gdzie idziemy, gdzie chcemy spać, gdzie jest nasz przewodnik itp. Ogólnie odradzają, żeby się podejmować tego co zamierzamy. Podobnie było w lutym 2012-go roku, kiedy samotnie [wchodziliśmy na Mont Blanc](#). O co im chodzi? Przecież tym razem wybraliśmy najłatwiejszy 4-tysięcznik w Alpach! Czując na sobie wzrok obsługi kolejki i ostatnich przed zmrokiem narciarzy wychodzimy z tunelu i idziemy w kierunku Britannia Hutte na wysokości 3030 m. Dojście do niego nie stanowi dużego problemu mimo, że plecaki ciążą nam bardzo (jak zawsze ważą milion kg mimo odchudzonego bagażu). Przy schronisku czeka nas przemiła niespodzianka, bo otwarty jest schron zimowy z piecem i łózkami piętrowymi. Nie musimy spać w namiotach!

Allalinhorn – pierwsze starcie

Rano wychodzimy w kierunku szczytu. Traktujemy to jako

rekonesans, choć ja i tak mam spinę. Jak tylko odwiążę się od liny to gnam jak opętany. Wiadomo, że i tak tego dnia na szczyt nie wejdziemy, ale mam ciśnienie by wejść jak najwyżej. Dawid też zasuwa ostro, za to w tyle zostają Tomek i Paweł. Czekam na nich i mówię coś w stylu, żeby „podkręcić tempo”. Tomek komentuje to pod nosem, nie słyszę dokładnie jego słów, ale przypuszczam, że i tak nie nadawały się do zacytowania. Docieramy do stromego stoku pokrytego szarym lodem. Znów zasuвам do przodu po śladach widzianych oczami wyobraźni. Dopiero Paweł mnie uświadamia wołając, że to co wziąłem za ścieżkę to szczelina jest. Tylko, że ja w tym momencie w dupie jestem.

Sam, bez asekuracji kleję się do lodowej, twardej skorupy. Uświadamiam sobie sytuację i przed oczami pojawia mi się twarz synka. Wyraźna, niezapomniana wizja i uczucie, które tylko parę razy w życiu miałem i nie bardzo za nim tęsknię. Mam pełną świadomość, że jeśli rak puści to spadnę setki metrów w dół. Patrzę na swoje tępe raki, których przednie zęby prawie spod buta nie wystają i próbuję wbić czekan ale nie udaje mi się to. Czekan ma z 10 lat i nigdy nie był ostrzony. Zastanawiam się, czy wkręcić śrubę i poczekać na chłopaków z liną? Tylko, że podczas wkręcania jest duża szansa, że się ześlizgnę. Decyduję się zatem wrócić do nich. Kroczek po kroczku, centymetr po centymetrze posuwam się w ich kierunku. Kiedy jesteśmy razem wiążemy się liną jak Bozia przykazała i co jakiś czas wkręcamy śrubę – gówniane Petzle i Irbisy. Idąc jako ostatni wykręcam czekanem to badziewie i spalam więcej kalorii niż podczas półmaratonu. Jedynie jedna śruba Black Diamond wchodzi jak w masło i to tylko za pomocą korbki, w jaką jest wyposażona.

Ścianka z szarego lodu się kończy, a my odpoczywamy na wypłaszczeniu. Przed nami jeszcze kawałek grani, potem skalny próg i podejście na przedwierzchołek. Ale to już nie dziś. Wracamy po szarym lodzie asekurując się śrubami. Potem podejmujemy fatalną decyzję szybszego zejścia na lodowiec i

zamiast wrócić tak jak przyszliśmy to robimy kilka kilometrów więcej torując w śniegu przez poszczeliniiony lodowiec. Tu Paweł zrobił heroiczną pracę przecierając świeży śnieg przez większość czasu.

Jesteśmy tak wypruci, że następnego dnia robimy dzień restu. Cały dzień spędzamy wokół schorniska, wchodzimy na Klein Allalin (3070) i robimy trening z liną. Dodatkowo prowadzimy dyskusje, czy ten odcinek, którego nie przeszliśmy to jest stromy czy nie, i czy bardziej stromy, czy bardziej nie, i jeśli bardziej to bardziej od czego. Wieczorem mam chwile wątplenia i nie chcę iść na Hohlaubgrat, ale chłopaki twierdzą, że damy radę.

Atak szczytowy

Rano ruszamy na atak szczytowy. Już na początku psuje mi się czołówka, więc do świtu radzę sobie z telefonem w ręce. Bardzo szybko dochodzimy do szarego lodu i całkiem sprawnie go pokonujemy. Podobnie jak pierwszego dnia, jesteśmy cały czas nagrywani przez kamerkę z położonej w okolicy stacji narciarskiej. Dopiero po powrocie okaże się, że możemy zlokalizować się jako małe czarne kropki praktycznie w dowolnej chwili pokonywania tej drogi.

Wchodzimy w dziewiczy dla nas teren. Grań jest przewiana, również pokryta twardym lodem. Nasze śruby nie pozwalają na szybkie poruszanie się, ale kiedy Paweł dochodzi do skalnego progu wciąż mamy dobry czas. Gdy dotyka stałych zabezpieczeń wkućtych w skałę cieszymy się, jakbyśmy na szczycie byli. Dalsze posuwanie się po pokrytym śniegiem, 30-metrowym uskoku pożerało nam czas niemiłosiernie. Kiedy wychodziliśmy powyżej niego na ostatni lodowy odcinek mam już dosyć wszystkiego. Jestem już w tym momencie psychicznie przegrany a Tomek fizycznie zdaje się być w jeszcze gorszej kondycji niż ja w psychicznej. Dawid trzyma się dobrze, ale dostał mocno w kość znosząc sypiący się na niego odgarniany przez Pawła śnieg i długie czasy oczekiwania na stanowiskach. A Paweł... w tym

momencie mówi do mnie „Kurde Dziku to naprawdę fajna górka, dzięki, że mnie zabrałeś”.

Droga powrotna

Gramolimy się przez ostatnie metry, szczyt zdobyty, teraz trzeba szybko zejść. Wybieramy drogę łatwiejszą, podobno przez cały rok przecieraną przez narciarzy. Niestety nie dziś, bo śladów nie widać. Już na początku się mylimy i znów trafiamy na oblodzoną ściankę. Poruszanie się na czubkach raków powoli mi wychodzi bokiem. W pewnym momencie wiem, że się już nie utrzymam i spadam parę metrów. Łąduję w śniegu przykrywającym szczelinę. Wygramoliłem się i patrzę, jak Tomek walczy. Jest już parę metrów poniżej śruby lodowej, tylko, że w tym momencie spada idący ostatni Dawid. Zjeżdża ze znacznie większej wysokości niż ja i trafia do tej samej szczeliny. Na szczęście i pod nim śnieg wytrzymuje, więc w trudnym położeniu został tylko Tomek. Bez asekuracji, na stromym oblodzonym stoku, walcząc resztką sił i na dodatek w tym momencie postanawia on wejść kawałek do góry, żeby pozostawioną śrubę wykręcić. Samo patrzenie na niego powodowało u mnie takie zmęczenie, że miałem ochotę szarpnąć łączącą mnie z nim linę i ściągnąć go na dół. Tomek z powodzeniem dociera do śruby, odkręca ją i schodzi do nas. Jestem pod wrażeniem, ileż on siły musiał z siebie tam wyrzesać.

Wezwanie pomocy

Stoimy we czwórce na Feejoch na wysokości 3826 m n.p.m. W dole widzimy wyratrakowane stoki i kolejkę narciarską. Słysząc i widząc też narciarzy i próbujemy kawałek zejść w ich kierunku. Gdyby był choć najmniejszy ślad narciarski, gdybyśmy mogli choć w przybliżeniu określić szlak między szczelinami zajęłoby nam to może z godzinę i bylibyśmy bezpieczni. Tymczasem fakt jest taki, że słońce zachodzi, przed nami stromy lodowiec z przykrytymi potężnym szczelinami a w domu czeka na nas czwórka maleńkich dzieci i – o czym dowiem się po powrocie – żona w

cięży. Decyzja jest jednogłówna – wzywamy pomoc.

Moje odczucia są takie, że ja na tej górze przegrany byłem od samego początku. Kiedy wychodziliśmy ze schroniska to byłem już na lodowcu. Zanim dotarliśmy do grani to byłem już głową na szarym lodzie. Do skał dotarłem zanim z lodu zeszliśmy a gdy Paweł dotknął skały to byłem już na szczycie. Gdy stanęliśmy na wierzchołku to ja mentalnie już z powrotem w śpiworze byłem niezdolny do dalszego działania. To mój 30-ty wyjazd w Alpy i pierwsza akcja ratownicza. Oby również ostatnia.

Dziękuję Tomkowi za jego spokój, Dawidowi za rozsądek i Pawłowi za niesamowitą siłę.

Dziku

„Przygoda, z nieodzownym ryzykiem i dziką przestrzenią, stanowi tęsknotę głęboko wpisaną w duszę mężczyzny. Męskie serce potrzebuje miejsca, w którym nic nie jest prefabrykowane, wzorcowe, koncesjonowane, podgrzane w mikrofali. Gdzie nie ma terminów, telefonów ani spotkań zarządu. Gdzie jest miejsce dla duszy.”

John Eldredge – „Dzikie serce”

Chłopczyk pod Wildspitze

– 23 VI –

Znów jedziemy z małym w Alpy. Michał ma teraz 14 miesięcy, czyli o 10 więcej niż ostatnio, gdy byliśmy w [Kals pod Grossglocknerem](#). Jest bardziej świadom otoczenia, a przede wszystkim już nie leży w gondoli, tylko siedzi przypięty pasami w spacerówce. To oznacza, że możemy wjeżdżać na wiszące

mosty i biegać z wózkiem po szlakach i robić „brum brum” unosząc przednie koło i nie ma obaw, że młody wypadnie.

Oprócz możliwości powiększyła się też nasza załoga. Na tym wyjeździe są z nami dziadkowie Michałka oraz Dawid, Monika i Emilka. Ta ostatnia trójka odwiedziła nas również w zeszłym roku w Kals.

– 24 VI –

Po dotarciu do pensjonatu w Vent i rozpakowaniu się idziemy na spacer do Rofen. Asfaltem dochodzimy do celu na wys. 2014 m. Tam przechodzimy po wiszącym moście i wracamy do Vent szlakiem prowadzącym po drugiej stronie wypływającej z lodowca rzeki. Mamy piękną pogodę – bardzo ciepło i słonecznie. Korzystamy z niej i popołudniu idziemy na jeszcze jedną trasę. Tym razem dochodzimy do wysokości ok. 1900 m na drodze dojazdowej z Vent do Stablein.

Po przeciwnej stronie doliny widzimy ośnieżone szczyty. Próbujemy odgadnąć ich nazwy i wysokości ale nie zabraliśmy mapy. Wśród tych groźnych trzytysięczników są: Talleitspitze (3408), Schalfkogel (3540), Spiegelkogel (3426), Ramolkogel (3550) i kilka innych.



Dolina Rofental

– 25 VI –

Sprawdza się mało optymistyczna dla nas prognoza. Całą noc padało i rano też bezlitośnie leje. W pokoju jest ciemno, trzeba świecić światło. Czy tak będzie wyglądał cały dzień? Leżę koło spakowanego plecaka i czekam na cud, który następuje około godz. 10-tej. Nie słyszę szumu deszczu więc wyglądam za okno – faktycznie nie pada. Przystępujemy do akcji, której celem jest zdobycie wysokości 3 tysięcy metrów. Bez dzieci, za to z teściem, dla którego będzie to życiowy rekord wysokości. Decydujemy się skorzystać z wyciągu krzesełkowego aby zyskać na czasie, bo pogoda jest bardzo niepewna. O 10:40 zeskakujemy w Stablein na wysokości 2356 m. Zaledwie po 1h40' marszu i łatwej wspinaczki stoimy pod krzyżem na szczycie Wildes Mannle o wysokości 3020m. Czas z drogowskazu skróciliśmy o 50'! Widzę w teściu potencjał, myślę już o innych szczytach, które są w jego zasięgu. Przed 15-tą jesteśmy z powrotem w pensjonacie.



W drodze na Wildes Mannle

Pogoda się poprawia, wychodzi słońce, więc idziemy na kolejny spacer. Tym razem całą rodziną przechodzimy urokliwą trasę zwaną Rund um Vent. Zaczyna się ona w miasteczku przy początku szlaku na Ramoljoch i idzie wzdłuż orograficznie prawego brzegu rzeki. Poniżej Vent przechodzi się mostkiem na brzeg lewy i drogą asfaltową wraca się do punktu wyjścia.

Jaby tego było mało z Agnieszką wybieramy się na jeszcze jeden rekonensans. Tym razem obieramy wspomniany już, stromy szlak w kierunku Ramoljoch i Ramolhaus. Mijamy przepiękne łączki i punkty widokowe. Wzdłuż szlaku można napotkać ławki. Co jakiś czas podziwiamy pokrytą śniegiem, kształtną bryłę Similauna – górę, z którą wiąże się kilka istotnych dla mnie momentów. Górę, na którą wciąż nie wszedłem, choć opisywana jest jako oblegany przez tabuny turystów łatwy 3-tysięcznik.



Similaun

– 26 VI –

Pobudka o 3:20 i to nie z powodu dziecka, ale z powodu górującego nad doliną Oetztał szczytu – Wildspitze (3768). Punktualnie o godzinie 4-tej wychodzimy z Dawidem z pensjonatu w Vent na wysokości blisko 1900 m. Na okolicznych górach płoną jeszcze płomienie ułożone w wielkie krzyże. Od prawie stu lat raz do roku miejscowi rozpalają te symbole wierząc, że unikną dzięki temu wojen i nieszczęść. Może i nam wyjście w takim momencie przyniesie szczęście?



Wildspitze (3768 m)

W godzinę pokonujemy 550 m wysokości. Daliśmy sobie cel 12-tu godzin na całą akcję, ale już zaczyna nam kołatać w głowie, że można to zrobić szybciej. Po 2h od wyjścia jesteśmy już przy schronisku Breslauer Hutte (2844). Jest godzina 6-ta i jest to czas wyjścia na szczyt ekip, które spały w schronisku. W czasie, gdy my jemy i pijemy wszyscy już wyruszyli – w sumie ok. 25 osób. Mamy nadzieję, że jeśli zaraz wyjdziemy i utrzymamy tempo to uda nam się część ekip wyprzedzić. Nie tyle chodzi tu o wyścigi, co o uniknięcie korków w trudniejszych miejscach. Łykam jeszcze niemal symbolicznie ostatnią tabletkę antybiotyku i żegnam się z chorobą. Czuję się zdrowy i silny, czuję się jakbym miał już nigdy nie zachorować.

Powyżej schroniska mijamy tablicę upamiętniającą przewodnika a na niej napis: „Nie znasz dnia ani godziny, kiedy Bóg wezwie Cię do siebie”. Zgadza się, w górach ludzie giną, ale najczęściej ludzi umiera w biurach i przed telewizorami. Często jeszcze za życia.



W tle przełęcz Mitterkarjoch oraz szczyt Hinterer Brochkogel (3635 m)

Tymczasem my trzymamy się szlaku i po skalnych ścieżkach docieramy pod śnieżny żleb prowadzący na przełęcz Mitterkarjoch (3468). Już tu mamy za sobą te ekipy, które z niewiadomych względów opuściły ścieżkę i trawersowały zbocze powyżej nas. Wchodząc w żleb naliczyłem 10 osób pod ferratą, z czego 3 poszły dalej śniegiem a 2 wyprzedziliśmy gdy ci uzbrajali się w lonże. Przed nami wciąż było pięciu Czechów i szło im całkiem sprawnie. Dopiero na końcówce, gdzie odcinek stalowej liny schowany był pod śniegiem ekipa przed nami zablokowała nas na jakieś 10 minut. Po wejściu na przełęcz wiążemy się liną i wkraczamy na lodowiec. Od tego momentu jesteśmy już pierwszymi pretendentami do zdobycia szczytu. Omijając szczeliny docieramy do skał na grzbiecie prowadzącym na szczyt. Względnie łatwą wspinaczką (ostatnie 2 minuty nagrałem) zdobywamy drugi szczyt Austrii – Wildspitze.

Dokładnie o tej porze główna część ekipy wyrusza szlakiem do Martin Busch Hutte (2501). Jeśli ich zamierzenia by się powiodły padłoby kilka rekordów – nigdy wcześniej na takiej wysokości nie była ani 2-letnia Emilka, ani 14-miesięczny Michałek, ani babcia Michałka. Niestety ta karawana z wózkami zatrzymana została na wysokości ok. 2150 m. Jak się okazało, z powodu kamiennych lawin wytyczono „objazd” drogi normalnej. Niestety to obejście niebezpiecznego miejsca prowadziło stromą ścieżką w dół do nowego mostku a potem na drugą stronę rzeki. Szlak ten jest zupełnie nieprzystosowany dla dziecięcych wózków. Mimo to ekipa podejmuje się wyzwania – wózki lądują w krzakach a dzieci w nosidełkach. Wszyscy razem przekraczają rzekę i ruszają w górę skalną ścieżką. Ta prowadzi przez parę km do kolejnego mostu, którym można wrócić na właściwą drogę. Jest to jednak zbyt wymagający i niebezpieczny odcinek dla małych dzieci i kobiety w 6-tym miesiącu ciąży. Po pewnym czasie drużynka zatrzymuje się, Aga robi jeszcze rekonesans i gdy wraca zarządza odwrót. Całą eskapada zajęła im 5,5h w pełnym słońcu, więc gdy wychodzimy im naprzeciw widzimy zmęczone, ale jednocześnie zadowolone twarze.

A jak to się stało, że pomimo prowadzonej przez nas tego dnia akcji na Wildspitze byliśmy o tej porze na dole? Wróćmy na szczyt.



Dawid na ostatnich metrach

„GELOBT SEI GOTT SEIN SIND DIE GIPFEL DER BERGE” – Niech będzie błogosławiony Bóg, Jego są szczyty gór. Taki napis znajduje się na krzyżu i niech tak pozostanie jak jest tam napisane. Po kilku zdjęciach i chwili odpoczynku przechodzę granią na wierzchołek północny. Jest to śnieżna kopułka o wysokości 3765 m. Dawniej to ten szczyt był wyższy, ale obniżył się na skutek wytopienia pokrywy śnieżnej. Robię zdjęcie wierzchołka z krzyżem i wracam. Teraz dopiero spokojnie siadam, jem i piję. Dawid zastanawia się, jak mi powiedzieć, że i tak będziemy szli po grani na północ bo zejdziemy inną drogą. Około godziny 9:40 zaczynamy schodzić. Propozycja trawersowania grzbietu i zejścia na lodowiec stokiem z drugiej strony jest strzałem w dziesiątkę. Unikniemy dzięki temu mijanek z tymi wszystkimi, którzy wchodzą normalną drogą. Zatem podążamy śnieżną granią do najniższego punktu i stąd prosto na lodowiec w dół po stromym stoku – jednym z tych, co to się wydają być prawie pionowe, a gdyby zmierzyć to by się okazało, że nachylenie 45-ciu stopni nie przekracza.

Niemniej schodzimy twarzą do stoku, a na lodowcu wiążemy się liną i po rozmiękłym już od słońca śniegu wracamy na przełęcz Mitterkarjoch. Po drodze Dawid parokrotnie wpada nogą w ukrytą pod śniegiem szczelinę. W jednej z nich macha i wyczuwa pod spodem pustkę – oj, nieprzyjemnie byłoby wpaść i się zaklinować.



Wierzchołek południowy widoczny z wierzchołka północnego

Na przełęczy rozwiązujemy się, ściągamy raki a poniżej ferraty zdejmujemy z siebie uprząże, stuptuty, kaski i uzbrojeni w kijki pędzimy bez przystanku na dół. Punktualnie o 13-tej jesteśmy w miasteczku. 1960 mH w zejściu zajęło nam 3h20'. Tę samą wysokość do góry pokonaliśmy w 5h15'. Doliczając czas spędzony na szczycie w sumie akcja trwała 9h. To znacznie szybciej, niż planowaliśmy i dlatego pomimo, że brakowało dreszczyku z powodu samego zdobycia wierzchołka to czuję tego dnia dużą satysfakcję.



Na szczycie

– 27 VI –

Z rana udajemy się w dolinę Rofental, jednak gdy po mniej jak pół godziny doszliśmy do Rofen (2014) zaczyna padać. Podobnie jak pierwszego dnia przechodzimy przez wiszący most i wracamy do domu. Tego dnia podejmujemy jeszcze jedną próbę aktywności.

Podjeżdżamy do miasteczka Obergurgl i chcemy przejść się doliną Gurglertal. Niestety i tym razem deszcz krzyżuje nam plany. Jednak dzięki temu krótkiemu wypadowi poznałem kolejne miejsce otoczone trzytysięcznikami.



Most w Rofen

– 28 VI –

Prognozy są nieubłagane – cały dzień możliwe opady. W takim wypadku odpadają długie trasy z dziećmi. Podejmiemy się z Dawidem mimo to próby zdobycia okolicznych szczytów. Wychodzimy o 6:30 w lekkim deszczu i kierujemy się na Ramoljoch (3186). Szlak najpierw prowadzi lasem stromo do góry a potem wychodzi na Ramolalm (2218) już ponad linią drzew. Dotąd jest to niezwykle malownicza trasa. Drzewa są pokryte porostami a wzdłuż szlaku rosną kwiaty – wygląda to jak obraz malowany. A powyżej... wychodzi się na morenę lodowca. Póki jest w miarę obrosnięta trawą to jeszcze to jakoś wygląda, ale potem gruzowiska skalne robią ponure wrażenie, szczególnie w

taką pogodę.



Tęcza i gruzowisko

Warte odnotowania jest to, że jakieś 2h drogi od Vent (zdrowym tempem) na lewo od szlaku jest przygotowana platforma pod namiot z dostępem do wody [EDIT 2022: W lipcu 2022 roku ani śladu po ciekach wodnych, jedyna woda to ta ze strumienia wypływającego bezpośrednio z oczka wodnego utworzonego przy cofającym się jezorze lodowca, wysokość w lipcu 2022 to około 3000 m n.p.m.]. Natomiast około 10 minut później jest większy placzyk na co najmniej dwa namioty, jednak tam już nie widziałem cieków wodnych. Przy wspomnianym placyku znajduje się drogowaskaz i odbicie szlaku 3h na Martin Busch Hutte (2501). Na przełęcz Ramoljoch wchodzimy po 3,5h z Vent. Przez ostatnie 50 m przewyższenia za plecami słyszymy grzmoty więc cel jest jeden – schować się w schronisku po drugiej stronie przełęczy. Do Ramolhaus (3006) wchodzimy nieco przemoczeni po 25' od przełęczy. Okazuje się, że schronisko otwierają dopiero za parę dni (od 1-go lipca), ale młoda, miła dziewczyna

zaprasza nas do środka. Pyta czy chcemy herbaty (nie), kawy (nie), coś do zjedzenia? Nie! My z Polski jesteśmy – my wszystko ze sobą nosimy! – tłumaczy Dawid.



Ramolhaus

Po godzinie przejaśnia się nieco, więc idziemy z powrotem na przełęcz. Do szczytu Hinter Spiegelkogel (3426) mamy z godzinę drogi, do Ramolkogel (3550) może ze dwie. Jednak dziś na żaden szczyt nie wejdziemy. Znowu pada, dookoła kłębią się chmury, a my nie mamy ochoty w takich warunkach biegać po tym gruzowisku. Ruszamy z powrotem do Vent, gdzie docieramy już o 14-tej. Ze schroniska do miasta wróciliśmy w 2,5h (wg tabliczki 4h). Mnie po głowie obija się słowo, jakim Dawid opisał kamienistą część trasy – ohydna. Rzeczywiście ten rejon należy do tych, które się „sypią”, a miejscowi dla zachowania względnego bezpieczeństwa co jakiś czas muszą wytyczać nowy szlak. Niemniej jestem przekonany, że przy ładnej pogodzie można by urządzić sobie tu świetne pole do zdobywania wysokogórskiego doświadczenia.



Hinter Spiegelkogel (3426)

– 29 VI –

Dziś wychodzimy na spacer wokół Vent. Między innymi zwiedzamy z małym na plecach miejsce zwane Hohler Stein (2050). Jest ono oddalone zaledwie 20 minut od granicy miasteczka i wiedzie zboczem góry Talleitspitze (3408). Góry, która króluje ponad Vent. Na jej szczycie znajduje się krzyż, a w nim czerwony kamień, przez który zimą, jedynie raz do roku słońce pada w taki sposób, że choć w dole jest cień to z miasteczka widać czerwone światło ze szczytu. Zaś Hohler Stein to wielki głaz, który uznawany jest za schronienie dla myśliwych sprzed tysięcy lat. Jest ono oddalone w linii prostej zaledwie 10 km od miejsca, gdzie odnaleziono zwłoki Oetziego. O pomniku ustawionym niedaleko miejsca odnalezienia zwłok wspominałem w relacji „[Dziku – człowiek z Similaun](#)„. Wspomniany Oetzi żył ponad 3000 lat przed naszą erą a jego doskonale zachowane zwłoki odnalazła para turystów z Niemiec w roku 1991. Przyczyniło się to do wielu kontrowersji, m. in. do sporu

między Austrią i Włochami, gdyż zwłoki znaleziono w pasie granicznym. Również Helmut Simon, który to właśnie wraz z żoną natrafił na znalezisko, sądził się przez wiele lat by uzyskać z tego powodu jakąś gratyfikację. Paradoksalnie nawet od niego zażądano zapłaty za wstęp do muzeum w Bolzano, gdzie można obejrzeć zwłoki Oetziego. W 2004 roku, wkrótce po tym, jak Simon wygrał proces o sumę 150 tys. € nagrody za znalezisko, on sam zginął podczas samotnej górskiej wspinaczki.

Wieczorem ruszamy w drogę powrotną do domu. O charakterze tego wyjazdu zdecydowała głównie pogoda, tak jak to zwykle bywa. Pod nią dopasowaliśmy plany i pomimo, że po raz czwarty będąc w Vent znów nie wszedłem na Similaun to i tak uważam, że te spędzone tam parę dni dobrze wykorzystaliśmy.

Dziku



Der kleiner Bergsteiger



Młody w bolidzie



Relacja, której nie ma

Ilekroć zabieram się za napisanie relacji z Allalinhorna (wchodziliśmy na niego w styczniu 2017), to mój syn wpada w histeryczny płacz. Rozstraja mnie to nieco, ale też widzę w tym jakiś znak i pisanie odkładam. Ogólnie zastanawiałem się ostatnio, dlaczego z niektórych wyjazdów relacje nie powstały. Nie ma w tym żadnej logiki, tzn. nie widzę wpływu, czy wyjazd był udany (zresztą nie ma w mojej opinii czegoś takiego jak wyjazd „nieudany”), czy był długi, czy krótki, czy góra była zdobyta, czy nie. No może poza jednym czynnikiem, bo nie napisałem nic o tych akcjach, podczas których zdarzały się epizody, których nie umiałem do tej pory wytłumaczyć. Klasyczny przykład, to ten, kiedy w 2010 roku na Gerlachu poszedłem jak ćma w ogień i samotnie zacząłem się wspinać lodospadem. Innym razem, kiedy w 2011 roku w trudnych warunkach śniegowych szukałem góry Zawrat, nie wiedząc, że to jest przełęcz. Po raz trzeci, po latach, zdarzyło się to właśnie na Allalinhornie w 2017, kiedy znów byłem bliski wpakowania się w sytuację skrajnie niebezpieczną. Zdecydowanie do tych trzech dorzuciłbym jeszcze zadanie z gwiazdką, czyli rosyjska ruletka w Alpach Oetztałskich w 2012 i zapraszanie lawin do tańca. Myślę, że we wszystkich tych przypadkach byłem o krok od nieszczęścia i niewytłumaczalna siła zadbała, bym wrócił na dół. Tłumaczenie wszystkiego „szczęściem” byłoby szczytem arogancji.

Czemu teraz o tym piszę? Nie dlatego, że teraz rozumiem, co tam się stało, ale dlatego, że już wiem, że nie muszę tego rozumieć. I w odpowiednim momencie wrzucę krótki tekst o drugim wejściu na Gerlach, który się skończył, zanim się

zaczął i o wejściu na niemal sam szczyt Zawratu, który był przełęczą. A już na pewno, jak tylko Michaś pozwoli, to napiszę o szarym lodzie i skalnym stopniu podczas zimowego wejścia na „najłatwiejszy” czterotysięcznik, z którym mentalnie przegrałem, zanim jeszcze ze śpiwora wyszedłem.

Na dziś załączam jedynie 1-minutową migawkę:

Allalinhorn – 4027 m – droga przez Hohlaubgrat – zimą

Monte Bianco – rocznik 2015

Cel – Monte Bianco – zdobyty

Kiedy – lipiec 2015

Kto – Dziku & Aga & Marcin & Grzechu

Zdjęcia – Dziku

Ktoś mi jest winny opis tego wyjazdu. Ten ktoś wie o tym i jestem przekonany, że niedługo obiecaną relację otrzymam. A póki co zajawka w postaci 2-minutowego pokazu z muzyką.

Powyżej napisane jest kto i co zdobywał. Warto jednak dodać, że była to w mojej opinii powtórka z roku 2009, tylko próba nieco bardziej szalona. Bez zdradzania szczegółów – tło tej akcji było takie, że zgadaliśmy się kiedyś „na Blanca”. I miało być w miarę łatwo, bez wspinaczki, szczelin, ekspozycji. Tylko, że drogę przez Goutera w tym okresie „zamknęli” ze względu na fatalne warunki. Mimo, że był to dopiero początek sezonu, na drodze tej zginęło już parę osób. Mieliśmy do wyboru zrezygnować z wyjazdu lub spróbować inną drogą. Padło na drogę od strony miasteczka Courmayeur. Poniżej wybrane slajdy a ja jeszcze dodam, że im więcej czasu mija od tej

przygody, tym bardziej się przekonuję, że to było szaleństwo.

Dziku

<http://dzikumaniak.pl/wp-content/uploads/2016/12/montebianco.mp4>

Słońce, woda, piasek...

Cel – Austria – Kendlspitze, Grosser Muntanitz, Kleiner Muntanitz – zdobyte

Kiedy – wrzesień 2016

Kto – Dziku & Dawid & Daniel & Dawid

Tekst i Zdjęcia – Dziku



Szlak prowadzący do miasta. W tle Similaun.





Na grani niedaleko szczytu



Widok ze szczytu

Jak już wspomniałem w [poprzednim artykule](#), zaledwie 2,5 tygodnia po urlopie z Agą i Michałem w Kals, znów wróciłem w te rejony, lecz tym razem był to wypad ekspresowy. Zdaję sobie sprawę, że prawie każdy wyjazd, który opisuję, jest opisywany

przeze mnie jako „szybki”, „krótki”, „ekspresowy” itp. itd. Tylko, że ten był naprawdę rekordowy pod tym względem! Wyjechaliśmy mianowicie w piątek o 20:00, w sobotę weszliśmy na jedną górę, w niedzielę weszliśmy na drugą górę, zeszliśmy i wróciliśmy do domu koło 2:00 w nocy z niedzieli na poniedziałek. Taki był zresztą cel wyjazdu, żeby pokazać, że wejście na 3-tysięcznik nie jest czymś zarezerwowanym tylko dla wybrańców. Warto tu dodać, że oprócz mnie, czyli Dzika (1D), udział wzięło dwóch kolegów z pracy: Daniel (2D) i Dawid (3D), dla których był to pierwszy wyjazd w Alpy. Dołączył do nas po drodze drugi Dawid (4D), którego mogę już śmiało nazwać stałym członkiem ekipy.

Do Glanz (1500 m) koło Matrei dojechaliśmy wcześniej rano i koło 6:00 ruszyliśmy na szlak w kierunku Sudetendeutschen Hütte (2665 m). Zgodnie z opisem powinno nam to zająć 4h i w takim też czasie udaje nam się tam dostać. Wprawdzie 2 nowych chłopaków mało ducha nie wyzionęło, ale jednak czapki z głów, że dali radę pomimo ciężaru plecaków (paręnaście kg dla osoby, która nie wędrowała z plecakiem robi różnicę). Do schronu dotarłem pierwszy, po czym ogarnąłem legowiska, oporządziłem się co nieco i poczekałem z aparatem na chłopaków. Chciałem ich wymęczonym twarzom zrobić zdjęcia, sam nie wiem po co, może by mieli pamiątkę z pierwszego marszu po Alpach, a może były to jakieś dotychczas ukryte, sadystyczne predyspozycje. Przypuszczam, że właśnie za te zdjęcia, oraz za to, że kilkakrotnie powtórzyłem, jak ostatnio w 4h wszedłem na szczyt zostałem pokarany. Już w schronie poczułem się źle, więc położyłem się spać. Chłopaki również potrzebowali tego odpoczynku, ale prawdopodobnie bym się tym nie przejął, gdybym sam czuł się perfekcyjnie. Po 45 minutowej drzemce wcale nie poczułem się lepiej.

Wyruszyliśmy ze schronu z zamiarem osiągnięcia dwóch 3-tysięcznych szczytów. Jednak u stóp Gradötzkogel (3063 m), czyli zaledwie paręnaście minut od schronu już miałem kryzys. Zdecydowaliśmy się pójść od razu na Kendlspitze, jako, że jest

wyższy i wygląda na ciekawszy cel. Jak chłopaki tym razem nie pokazali po sobie żadnego zmęczenia i szli dzielnie pod górę, tak ja znalazłem się w kupce po uszy. Coś jak czasem Michałek w domu, jak się pielucha przepełni. Wlokłem się zupełnie bez sił i nawet nie robiłem dobrej miny do złej gry. Na tym samym podejściu, na którym niespełna 3 tygodnie wcześniej skakałem jak kozica, dziś błagałem w duszy, by chłopaki poszli beze mnie i pozwolili mi siedzieć bez ruchu na kamieniu. Ale pewnie bym nie usiedział długo tylko uciekł do schronu, na pryczę.

Wówczas nie byłem w stanie filozofować, ale potem dotarła do mnie taka myśl: możesz zdobyć górę, możesz to zrobić w rekordowo szybkim czasie, może wejść wyjątkowo trudną drogą, możesz to zrobić bez jedzenia, picia, albo nocą bez czołówki. Ale w żadnym z tych przypadków nie możesz powiedzieć, że daną górę pokonałeś. Bo po żadnym z twoich wejść góra nie stanie się ani odrobinę słabsza, niższa, czy mniej stroma. Za to, jeśli góra ciebie pokona, to możesz mieć kłopot. Możesz coś złamać, możesz coś odmrozić, a może też skończyć się większym dramatem. Obrazuje to sytuacja, w której się znalazłem: czas, w jakim pokonałem pewien dystans pewnego dnia, dotyczy tylko tego określonego dystansu w tym określonym czasie i jest związany ściśle z moim samopoczuciem, moją kondycją fizyczną i psychiczną, pogodą i nie wiem czym jeszcze, ale tylko tamtego dnia, nie dziś, nie za tydzień i nie za rok.

Wracając pod Kendlspitze – siedzę na kamieniu i czekam, aż chłopaki powiedzą, że pójdą sami. Nawet pozwalałam sobie otwarcie im to zaproponować. Wtedy słyszę od Dawida: „to zostaw sobie tu plecak, będzie ci lżej”. Szlag by trafił, nie o to chodziło, ale zostawiam plecak i sunę do góry. Wdrapujemy się na przełęcz, robię zdjęcia, choć nie mam ochoty. Chcę przekazać aparat i zostać tu. Nie potrzebuję być znowu na tym szczycie, a tymczasem znów słyszę coś, co sugeruje, że powinienem iść z nimi. Pewnie, że powinienem, w końcu mam ich pod opieką, a przynajmniej dwóch z nich. Tylko co zrobić, kiedy mam problem z otwarciem oczu, wiem, że jakbym się tu

położył na kamieniach to natychmiast bym zasnął. Samo czytanie tego może bardzo zmęczyć, więc streszczę finałowy przebieg: weszliśmy całą czwórką na szczyt i zeszliśmy również razem. Świetną pracę wykonał za mnie Dawid, który pomagał chłopakom, podpowiadał, gdzie postawić nogę, gdzie się przytrzymać. Co najważniejsze – poczekał na nich, kiedy była potrzeba. Jakby tego było mało, Daniel przejął ode mnie plecak. Do schronu dotarłem zataczając się, powłócząc nogami i ledwo utrzymując otwarte powieki, czyli w stanie, który zaczynał być mocno niepokojący. Wszyscy padliśmy na prycze i zasnęliśmy.

3 godziny później wybudziłem się z majaków, jakie się miewa w wysokiej gorączce i chrypiącym głosem próbowałem przekonać chłopaków, że rano powinni wyruszyć na szczyt sami. Zupełnie nie widziałem się następnego dnia w górach. Niestety argumentowali, że nie mogą mnie samego zostawić, a to dobijało mnie jeszcze bardziej. Obiecałem sobie, że na zawsze zapamiętam ten stan, kiedy jest się najsłabszym ogniwem i będę wykazywał w górach więcej empatii.

Kletterweg na zboczu Kleiner Muntanitz

Rano obudziłem się jak nowo narodzony. Słaby (dziecko po urodzeniu też nie wykazuje atletycznej formy), ale z tendencją do poprawy. Tym samym nie było powodu, by nie wyruszyć na najwyższy szczyt w grupie Granatspitzgruppe – Grosser Muntanitz (3232). Był to pierwszy raz, kiedy trasa na szczyt prowadziła w głębokim piasku. Nie mówię o piargach czy drobnych kamieniach. Szliśmy po autentycznym piasku i pół żartem rozważałem założenie stuptutów. Poza piaskiem w butach nie napotkaliśmy żadnych trudności i szybko znaleźliśmy się pod szczytem Kleiner Muntanitz (3192 m). Tu jest krótki fragment ferraty, na którym przy oblodzeniu lub śniegu warto założyć raki. Schodzimy tym ubezpieczonym linami kominem i potem, znów łagodnym grzbieciem przypominającym szlaki w Sudetach wchodzimy na Grosser Muntanitz. Cel główny osiągnięty w doskonałym czasie (około 2,5 h). Po serii pamiątkowych zdjęć

znów podchodzimy pod kominek z ferratą. Wspinamy się nim na górę i przeskakując kilka kamieni stajemy na Kleiner Muntanitz. Żał było nie „zdobyć” tego wierzchołka, to dosłownie kilka kroków od ścieżki. W pełni usatysfakcjonowani i w znacznie lepszej formie (tyczy się to nas wszystkich) wracamy do schronu. Po drodze słyszę, jak Daniel mówi: „czuję się jak w ciepłych krajach”. W rzeczywistości, pogoda i warunki są nie tyle letnie, co wręcz jakieś afrykańskie. Tak wyobrażam sobie góry w Maroku, ewentualnie Sierra Nevada w Hiszpanii. Tymczasem jest to końcówka września w Alpach, a my skąpani w słońcu schodzimy piaszczystym zboczem do schronu położonego nad jeziorkiem. Stąd „Słońce, woda, piasek...” w tytule. Jedynie betoniarki brakowało.

Wczesnym popołudniem ruszyliśmy w dół, do naszego Audi – model „Ryan-Air”, podkuliliśmy kolana i pojechaliśmy do Polski.

- END -

Niemcy – Zugspitze

Cel – Zugspitze (2964 m n.p.m.) – zdobyty

Kiedy – sierpień 2007

Tekst i zdjęcia – Dzik



Szlak prowadzący do miasta. W tle Similaun.



Na grani niedaleko szczytu



Widok ze szczytu

Dziku'2016: Poniżej relacja z sierpnia 2007 roku. Zugspitze był moim 7-mym szczytem Korony Europy, lecz pierwszym położonym w Alpach. Wciąż w amatorskim stylu: bojówki, bawełniane podkoszulki i odciski na dłoniach. A odciski stąd, że pierwszy raz kijków używałem i pętli nadgarstkowych nie używałem, za to bardzo mocno ściskałem rączki. Jednak doświadczenia bezcenne, szczególnie jeśli chodzi o lodowiec, który widziałem po raz pierwszy w życiu. Serce mocniej mi biło przechodząc koło niegroźnych szczelin i widząc na nogach nowiutkie raki. Za to mój zestaw do asekruracji był lekko niedopracowany. Koniec liny przechodzącej przez płytkę z otworami chowałem do kieszeni, zamiast przywiązać do uprząży. Więc nie wiem, jak by się to zachowało w przypadku odpadnięcia ale prawdopodobnie zawisłbym jedynie na płytce, a to na pewno nie jest jej przeznaczenie.

Relacja bez zmian, jedynie w ramach transferu ze starej, niedziałającej strony przebrałem raz jeszcze zdjęcia i krótki filmik dorzuciłem.

Dzień 1 – Höllentalklamm – zwiady

Moją bazą wypadową przez te kilka dni było pole namiotowe w Garmisch-Partenkirchen Grainau. I tu w środę zostałem (na własne życzenie) pozostawiony przez przyjaciół jadących na te parę dni do Innsbrucka. Kamping położony jest na wysokości ok.

700 m n.p.m., tym samym aby wdrapać się na Zugspitze do pokonania było ponad 2200 metrów przewyższenia. No i przydałoby się jeszcze wrócić, a uparłem się żeby nie korzystać z kolejki i na dodatek nie schodzić tą samą drogą. Na najwyższy szczyt Niemiec udało mi się wejść dopiero ostatniego dnia wycieczki.

A pierwszego dnia pokonałem sobie tylko małą część drogi, docierając do wejścia do wąwozu Höllentalklamm (nie wiedziałem jeszcze, że będę tam chodził codziennie – w sumie 4 razy). Pozachwycałem się też widokiem szczytów pasma Wettersteingebirge z drogi na Kramerspitz – takiej niemieckiej Gubałówki, tylko wyższej.

Dzień 2 – Próba nr 1

Dzisiaj to mogłem już przyatakować szczyt i mieć z głowy, ale jakoś nie wyszło. Niby to zabłądziłem, niby to mgła straszna, niby to pogoda taka nie bardzo, no po prostu nie wyszło i już. I dobrze. Bo o 14 zaczęła się jakaś bawarska pora deszczowa, która zastała mnie nie wysoko w górach ale 50 metrów od Aldika (znajdującego się naprzeciwko pola namiotowego), gdzie zaopatrzyłem się w uzupełniacze płynów.

Obudziłem się po paru godzinach na prawdziwym wodnym łóżku. Każdy ruch powodował falę wypływającą spod namiotu i uderzającą o najbliższy „brzeg”. Jakkolwiek hipernieprzemakalny Piesek Leszek prawdopodobnie przetrwałby noc nawet zatopiony w jeziorze i obciążony kamieniami, to falująca podłoga przyprawiała mnie o chorobę morską.

Po dłuższej mobilizacji, a dokładniej – po udaniu się do kibelka – postanowiłem zadziałać. Akcja była krótka lecz efektywna. Niezbędnymi do powodzenia operacji były następujące działania:

1. wyjście z plecakiem z namiotu
2. wyciągnięcie szpilek sztuk 12
3. przesunięcie namiotu o parę metrów w miejsce gdzie

głębokość wody nie przekracza 5 cm

4. wbicie szpilek sztuk 12

5. wejście z plecakiem do namiotu

6. wypicie browarka

Dzień 3 – Próba nr 2

Do 6:30 pada. Potem lecę do góry. Niestety pogoda nie poprawia się ani troszkę. Po dotarciu do wejścia do Höllentalklamm pan w okienku odradza wyjście na Zugspitze w taką pogodę. Mówi, że „tomorrow better”. No dobra, zatem „see you tomorrow”, no bo co? Miejscowym mam nie ufać? W drodze powrotnej obłazą mnie salamandry. Jutro ostatni dzień i ostatnia szansa.

Po „spacerze” do schroniska pod szczytem Kramerspitz upewniam się, że podane czasy przejść na tabliczkach czy drogowskazach mogę dzielić przez 2.

Dzień 4 – Do trzech razy sztuka

O świcie wylatuję z namiotu. Po 7 godzinach marszu i łatwej wspinaczki (stalowe liny, kłamry i pręty były prawie przez całą długość trasy) stałem na szczycie. Widoczki ładne ale ten betonowy moloch na wierzchołku i tłumy ludzi, które wjeżdżają kolejkami – ech...

Przy schodzeniu zaczęły się przysłowiowe schody. Miałem serdecznie dość. Poza mną nikt nie schodził tą drogą do Garmisch. Widać inni wcześniej zauważyli że jest to trasa raczej na 2 dni. Tak więc grzałem samotnie w dół przez dolinę Reintal. Nachylenie na większości trasy bardzo małe, ale długość drogi jaka mnie czekała powodowała że byłem coraz bardziej spękany. Już miałem wizję jak biegam z czołówką nocą po Alpach. Po paru godzinach szybkiego marszu albo błyskawicznego zsuwania się po stromych piargach zacząłem bawić się w grę „wieviel stunden, czyli zapytaj Niemca jak daleko do Garmisch”. Mijając takiego Niemca zmierzającego w górę do któregoś z pobliskich schronisk zagadywałem o czas

dojścia do miasta, po czym obserwowałem jak cmoka i kręci głową a następnie słyszałem bardzo niezadowolającą mnie odpowiedź. Gdy o godzinie 17 kolesie powiedzieli, że czeka mnie jeszcze 5 godzin marszu to już było niepokojące (o 20:30 zachód słońca). Ale gdy godzinę później usłyszałem od innego turysty że jeszcze 6 godzin, to ledwo się powstrzymałem żeby go nie dziabnąć kijkiem w lewe oko. Dodatkowo miałem świadomość, że czeka mnie jeszcze kilkukilometrowy marsz przez miasto do pola namiotowego na drugim końcu. Dzięki kijkom trekkingowym, które jakimś cudem się nie rozpięrdzieliły, zacząłem sadzić 7-milowe kroki.

Pod koniec trasy miałem wielkie szczęście spotkać bardzo miłą parę Niemców, z którymi idąc jeszcze ok. 1,5 godziny dotarłem do skoczni narciarskiej, już w Garmisch-Partenkirchen. Tam mieli oni zaparkowany samochód, i mimo tego że było im to zupełnie nie po drodze zawieźli mnie przez całe miasto na pole namiotowe.

A na wejściu na kamping przywitał mnie „Quechua Team” – 4 osobowa przesympatyczna ekipa z Wrocławia, koło której przed paroma diami miałem szczęście się rozbić i ich poznać. Piwo i kolacyjka, którymi natychmiast mnie poczęstowali, były czymś wspaniałym, szczególnie po 15 godzinach marszu i wspinaczki. Tylko trochę dziwnie mogli na to popatrzeć Niemcy którzy mnie przywieźli. W końcu po drodze mówiłem im jak to jestem tu sam i jak to marzę tylko o herbacie gdy już dotrę do namiotu.

Podsumowując króciutko, to wyszedłem z „domu” o 6:15, wróciłem jakoś tak w godz. 21-22. Wg mapy wyszło mi, że przebyty dystans w poziomie to ok. 30 km (gdyby nie wyżej wspomniany autostop byłoby jeszcze co najmniej +5 km). No i to rekordowe jak dotychczas przewyższenie.. 2200 m w górę i 2200 w dół. Lepszym rozwiązaniem byłoby przenocować w którymś ze schronisk po drodze. Wtedy na drugi dzień podziwiałbym dolinę Reintal, a nie jej nienawidził.

Dzień 5 – Szaleńcy z Austrii

W niedzielę podjechali po mnie nieocenieni: organizator wycieczki Paweł, kierowca bolida Kasia, i pilot kierowcy Laura. Ich pobyt w Austrii był również w 100% udany.

Ok, na ten weekend wystarczy. Oby takowych jak najwięcej.

– END –

Kendlspitze

Cel – Austria – Kendlspitze – zdobyty

Kiedy – wrzesień 2016

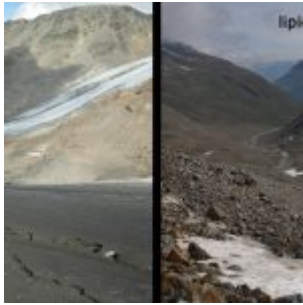
Kto – Dziku

Tekst i Zdjęcia – Dziku



Szlak prowadzący do miasta. W tle Similaun.





Na grani niedaleko szczytu



Widok ze szczytu

Relację z wypadu na Kendlspitze w Wysokich Taurach załączam z dwóch powodów:

- 1) żeby pokazać, jak szybko i łatwo można wejść na 3-tysięcznik,
- 2) żeby pokazać, jak bardzo można się przejechać, kiedy się w to ślepo uwierzy.

Tak więc najpierw się pochwalę, a potem pożalę.

Kendlspitze to góra składająca się z dwóch wierzchołków: wysokiego na 3085 m n.p.m. Vordere Kendlspitze oraz nieznacznie niższego Hintere Kendlspitze. Oznakowane szlaki prowadzą z Kals i z Matrei i nie przedstawiają trudności technicznych. Doświadczeni wspinacze mogą pokusić się o wejście granią, którą poprowadzona jest droga wspinaczkowa (bez sztucznych ułatwień). Drogę na szczyt można sobie znacznie skrócić poprzez dostanie się na grzbiet kolejkami, które poprowadzone są z obydwóch miasteczek.

Wskazówki, co do wejścia od strony Kals opiszę w formie relacji:

Z Glor na wysokości ok. 1380 m wychodzę o 5:30, czyli jeszcze przed wschodem słońca. Przez następne pół godziny idę asfaltem przez miasteczko. Ciemności powoli ustępują, kiedy dochodzę do dzielnicy Taurer na wysokości 1500 m (do tego miejsca można też dojechać samochodem). Ale od tego momentu szlak prowadzi już cały czas stromo pod górę. Najpierw przez las, potem trawiastymi zboczami, lecz bez żadnych niedogodności. Częściowo idę szeroką drogą, częściowo ścieżką. Co istotne – ukształtowanie terenu pozwala szybko zdobywać wysokość. Imponującą ścianę Kendlspitze mam przez cały czas przed oczami. Odbiera to nieco pewności siebie, gdyż trudno sobie wyobrazić, że można tam wejść ot tak sobie, prosto z ciepłego łóżka. Myk polega na tym, że wchodzi się na przełęcz i potem obchodzi tę górę od drugiej strony, najpierw trawersując ścieżką stromą, trawiaste zbocze, a potem po stoku usłanym kamieniami. W ten sposób dochodzę do przełęczy pomiędzy dwoma wierzchołkami i skręcam w prawo. Fragmentem grani, dosyć stromym i eksponowanym, ale ubezpieczonym stalowymi linami wchodzi na szczyt. Patrząc na zegarek – 9:30. Od pensjonatu na drugim końcu miasteczka szedłem równo 4 godziny. Od parkingu w Taurer – jedynie 3 i pół. W tym czasie pokonałem ponad 1700 metrów przewyższenia.

Widok z Kendlspitze

Dobre tempo powoduje, że chciałoby się czegoś więcej. Spoglądam na pobliski Gradötzkogel (3063 m), potem na wierzchołki Muntanitz – ten wyższy ma 3243 m i jest najwyższy w tej grupie górskiej. Przede mną cały dzień... w głowie przeliczam czasy, wysokości, odległości. Chcę chociaż spróbować, więc schodzę nieco z Kendlspitze i podchodzę w kierunku Gradötzkogel. Widzę, że muszę oddać nieco wysokości, by potem znów ją odzyskać. Do tego teren nie wygląda na najłatwiejszy, trochę stalowych drutów, będzie ciężko tu nadrobić czas. W tej sytuacji odpuszczam i nie mam wątpliwości, że była to jedyna właściwa decyzja. Wracam do pensjonatu szlakiem przez Baluspitz i szybko zaczynam żałować wyboru tej drogi. W ciągu 4 dni schodzę tę samą drogą już 3-ci raz i czuję się tym znużony. Ale cierpliwie tracę wysokość i zbliżam się do miasteczka. Może uda mi się jeszcze dogonić Agę z Michałkiem, którzy wybierali się w góry po przeciwległej stronie doliny?

Po paru godzinach jestem z powrotem pod pensjonatem. Nie mam ochoty się już ruszać. Tylko, że drzwi są zamknięte a ja nie mam kluczy, kolejna rzecz to to, że ja tu siedzę na betonie a Michałek gdzieś tam, u góry, pogoda piękna, zjadłem wszystkie kabanosy... Dość siedzenia! Zostawiam plecak i na lekko ruszam w górę. Szlak biegnie najpierw w dół, do koryta rzeki, potem przez mostek i następnie bardzo stromym stokiem pod górę, więc znów błyskawicznie zdobywam wysokość. W niecałe 40 minut pokonuję 450 metrów przewyższenia i wychodzę tuż koło chatki z tarasem. Na tarasie wózek dziecięcy, a w nim śpi sobie mój syn. Na piecu gotuje się dla mnie woda na kawę. Cóż za sielankowy nastrój! Ale to już opisywałem [tutaj](#).

A co z punktem drugim, czyli klasycznym sponiewieraniem i pokazaniem, gdzie w starciu z górami moje miejsce? O tym, jak zaledwie 2,5 tygodnia później dostałem na tej samej górze wciry [napiszę osobno](#).

Niemowlak pod Grossglocknerem

Cel – Wysokie Taury z niemowlakiem

Kiedy – wrzesień 2016

Kto – Dziku & Aga & Michałek

Tekst – Dziku

Zdjęcia – Dziku

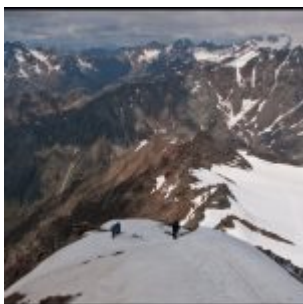
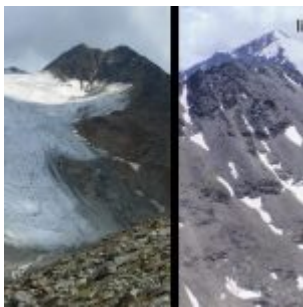
Z niemowlakiem w Alpy?

Czemu nie. Tym bardziej, że odpowiedź na pytanie z tytułu znajduje się w poniższym artykule.

O tym, czy pojedziemy z małym w Alpy zastanawialiśmy się już wtedy, jak był w brzuchu. Właściwie to „była”, bo w tamtym czasie przekonani byliśmy, że to dziewczynka będzie. Nawet imię z literek Aga na ścianie powiesiła: Blanka. Jakżeby inaczej, skoro ten mały pasażer w pierwszych tygodniach życia zaliczył z nami Mont Blanc na gapę. Jak się już po urodzeniu okazało, że to syn, to z tych literek próbowaliśmy coś męskiego ułożyć. Wyszło nam np. Baklan, ale brzmiało zupełnie do bani. Wszyte literki poszły na strych i tam poczekają na córę. Imię Bianco (wchodziliśmy na MB od włoskiej strony) też nie przeszło głosowania. Nie spodobał się również ani Everest ani Parbat (wtedy córka dostałaby imię Nanga). I tak – kończąc już ten długi wstęp – stanęło, że syn będzie miał na imię Michał.



Szlak prowadzący do miasta. W tle Similaun.



Na grani niedaleko szczytu



Widok ze szczytu

Dziecko do wyjazdu przygotowywaliśmy już wcześniej. A właściwie to bardziej siebie, niż dziecko. Etap ciąży się nie liczy. Zresztą te parę 4-tysięczników z lipca i sierpnia było zdobywane w nieświadomości, ilu nas tam naprawdę wchodzi. Przypominam sobie mój tekst do Grześka, kiedy to Aga zasnęła na kamieniu na podejściu na Mount Pelvoux (po zejściu z Barre des Ecrins i Dome de Neige).

– Grzechu, ja z nią tyle po górach chodzę, ale takiego spadku sił to u niej nie pamiętam...

Gdy już po powrocie zostaliśmy uświadomieni, stwierdziliśmy, że młody będzie miał dożywotnią aklimatyzację. Jak Obelix, co to za młodu wpadł do gara.

Co z faktycznymi przygotowaniem? Na pierwszy strzał, z okazji ukończenia przez Michała 4-go tygodnia poszła Ślęza. Dobry test dla logistycznych rozwiązań. Wjazd wózkiem, zejście w chuście. Poszło gładko, dlatego tydzień później za cel obraliśmy Wielką Sowę. Tu trzeba było wsparcia. Szczególnie początkowy odcinek – kamienisty i stromy – wymagał pomocy Pawła. W takich miejscach wózek we dwójkę przenosiliśmy.

Wiedzieliśmy już, że nie ma problemu na szlakach, o ile za dużo kamieni nie ma. Gładko też idzie podczas transportu autem. Przynajmniej do tych 2 godzin w jedną stronę. Ale co będzie, kiedy trzeba będzie jechać godzin 11? Aby to sprawdzić udaliśmy się na urlop na Mazury. I znów Michałek doskonale

zniósł podróż, a podczas niej karmienie i przewijanie na parkingach. To nas dodatkowo zachęciło, żeby zabrać go na najwyższe wzniesienie na Litwie. To była ta jednodniowa wycieczka, którą króciótka opisałem [tutaj](#).

Wraz z końcem sierpnia byliśmy gotowi skorzystać z dokonanej (znacznie wcześniej) rezerwacji w pensjonacie w Kals am Großglockner. Było to stresujące przedsięwzięcie, ponieważ do tej pory sypialiśmy w namiocie na lodowcu, a teraz mieliśmy mieć pokój z łóżkiem. Nie mieliśmy pojęcia, czy sobie z tym poradzimy.

Podróż w tamtą stronę podzieliliśmy na 2 części, bo była to doskonała okazja, żeby odwiedzić przyjaciół pod Monachium. Na drugi dzień od wyjazdu z Polski zameldowaliśmy się w dzielnicy Glor w Kals. Już sami właściciele okazali zaskoczenie (nie)wielkością bobasa. On już wtedy przecież całe 4 miesiące miał skończone. Takich zaskoczonych ludzi, szczególnie na szlakach, jak się możecie domyślać, spotkamy jeszcze wielu. Wrzuciliśmy graty do pokoju i jeszcze popołudniu ruszyliśmy szlakiem w kierunku Lucknerhaus. Tego dnia dotarliśmy do wysokości ponad 1700 metrów i zawróciliśmy. Już wiemy co chcieliśmy wiedzieć – na pewno da się.

Poniżej opiszę w formie relacji kilka tras, pięknych widokowo, jednocześnie dostępnych dla wózków.

01.09

Kals (1325), Großdorf (1364), Taurer (1500) – Wycieczki między tymi miejscami są o charakterze mieszanym – przyrodniczo-miejskim, są dobre na rozruch. Trasa 38 jest już bardziej dzika i prowadzi z Glor (1385) na Hängebrücke (1420). We wszystkich tych miejscach są bezpłatne parkingi.

02.09

Tego dnia udajemy się szlakiem nr 702B do Lucknerhaus. Masywna sylwetka Grossglocknera majaczy przed nami. Na wysokości niemal 2100 metrów decydujemy się zawrócić. Stroma, ale gładka,

dojazdowa droga doprowadziłaby nas do Lucknerhutte, jednak odpuszczamy. I tak jesteśmy tym dniem w pełni usatysfakcjonowani.

03.09

Kolejnego dnia przyjeżdżają wspomniani już wcześniej Dawid, Monika i mała Emilka z Niemiec. Podczas, gdy ja z Dawidem wspinaliśmy się na okoliczny szczyt (historię opiszę osobno), dziewczyny z dziećmi w wózkach poszły zwiedzać dolinę Dorfertal. Aga twierdzi, że była to najpiękniejsza z dolin jakie odwiedziliśmy. Koniecznie trzeba zabrać ze sobą latarki, w pewnym miejscu przechodzi się przez tunel w skale długości paruset metrów. Oczywiście ominięcie go szlakiem na zboczu nie wchodzi w grę, kiedy turystkami są dwie karmiące matki pchające wózki [komentarz Agi po przeczytaniu tego akapitu: „Tamtędy się da przejść, tylko, że jest wąsko, jest przepaść i na wózek leje się woda z wodospadu. Ogólnie do przebycia, szczególnie po karmieniu, kiedy dzieci śpią. Tylko, że nierówno, a w tunelu również więc zawróciłyśmy”]. Dodatkowo Aga poleca kawę mrożoną w Berger Alm.

04.09

Następnego dnia ruszyliśmy z wózkiem w kierunku Blauspitz. Auto zaparkowaliśmy przy żółtym domku powyżej kolejki. Miejsce to na mapie oznaczone jest jako Tembler (1420). Stąd dosyć stromo, dojazdową drogą dotarliśmy do Glocknerblick na wysokości 1944 m. Nieco powyżej granicy 2000m, na łące z krowami, wpadam na pomysł, by wysłać Agę na szczyt Baluspitz (2575). Do pokonania ma nieco ponad 500 metrów przewyższenia i musi to zrobić szybko. W momencie, kiedy zaraz po nakarmieniu dziecka rusza w górę zaczynam czuć strach. Rzadko tak miewam, ale jak tu być spokojnym, kiedy zostałem sam z dzieckiem. Bo ja się nie bałem o Agę, wiedziałem, że sobie poradzi. Ja się o siebie bałem. I to pewnie tym strachem ściągnąłem krowią klątwę. Najpierw podeszła do nas jedna krowa i zaczął się ocierać o drzewo, a kilka minut później z góry zaczęła galopować na nas druga. Wściekła krowa, szarżująca prosto na

Dzika trzymającego małego Michałka na rękach. Używając pozostałej ręki i zębów zbierałem cały majdan – chustę, gondolkę, kocyk i zabawki i uciekałem do drogi. Zaniepokojony wydarzeniami, przypadkowy turysta pomógł mi się spakować do wózka. Chciałem jak najszybciej znaleźć się na dole, tym bardziej, że wiedziałem, że muszę jeszcze przejść jeden odcinek wśród krów. Na szczęście te były spokojniejsze i pomknąłem z wózkiem w stronę parkingu. Taktycznie starałem się jednak trzymać takie tempo, żeby Aga nas dogoniła, zanim mały zgłodnieje. Ostatecznie wszystko skończyło się szczęśliwie, Aga weszła na szczyt w ciągu jednej godziny (ponad 500 metrów!) i dogoniła nas na czas. Ja tymi krowami jeszcze potem nieco postraszę, bo żarty żartami, a to jest jednak pewne ryzyko, jak się dowiedziałem.

05.09

Na południe od Lienz znajduje się jezioro Tristacher See. Bardzo ładne miejsce, można się wykąpać na strzeżonej plaży (w sezonie), jest też pole namiotowe. W tle Dolomity Lienzerskie. My zrobiliśmy sobie spacer wokół jeziora, pokarmiliśmy kaczki, których karmić nie wolno (za późno przeczytaliśmy kartkę) i zdecydowaliśmy się odwiedzić dolinę Debanttal. I ja tę dolinę gorąco polecam. Piękne widoki i możliwość podziwiania kształtnej sylwetki szczytu Glödis (3206). Dolina jest bardzo długa (16km!), ale dosyć daleko można dojechać autem. Parking znajduje się aż w miejscu nazwanym Seichenbrunn (1650). Stąd, już koniecznie na nogach, kierujemy się do Lienzerhütte. Nie dane nam było jednak tam dojść. Późna pora i niepewna pogoda coraz bardziej odbierały na pewnośc siebie. Jednak wiedzieliśmy, że do schroniska pozostał może jeden zakręt i jakieś 500 metrów, zatem Aga poszła na zwiad. I kiedy zobaczyłem, że Aga do mnie ze wspomnianego zakrętu macha, to pomyślałem, że widocznie mam do niej iść bo schronisko tuż tuż. Tylko... czemu ona tak macha i biegnie w moim kierunku? I wtedy słyszę: „KR000WY IDĄĄĄ!”. Więcej mi nie trzeba było słyszeć – w tył zwrot i rura na dół. I już wiedziałem, po co nam wózek do biegania – żeby przed krowami uciekać. Biegliśmy

około kilometra, aż do małej osady na uboczu. Tam mieliśmy przynajmniej miejsce, żeby usunąć się z drogi. Ale te krowy cwańsze były i stanęły na naszej powrotnej drodze. Minął nas tylko autem pan, który jadąc zgonił z góry to stado. Jak się możecie domyślić – dziwnie na nas popatrzył.

06.09

Wczorajsza przygoda zakończyła się szczęśliwie. Zresztą, tak jak krowy bronią swoich młodych, tak pewnie Aga rozniosłaby całe stado, gdyby wyczuła, że jej Dziczątko jest zagrożone. Co dziś? Zimno i deszcz! Cudownie! To pierwszy dzień, kiedy nasze nogi mogą odpocząć (no bo jak można pozowlić sobie na odpoczynek w górach, kiedy jest pogoda?). Leje okropnie, trochę nawet taki prawie śnieg z deszczem. Z balkonu podziwiamy piękną tęczę nad miasteczkiem.

07.09

Tego dnia o 5:30 wychodzę na okoliczny 3-tysięcznik. Ten wypad opiszę osobno, bo historia z tą górą będzie miała dalszy ciąg, zakończony morałem zresztą. Co z trasami wózkowymi na dziś? Aga za namową Pani Schnell podjeżdża do Oberlesach. Tu, na wysokości 1420 metrów jest prywatny, płatny parking [parking bezpłatny jest w Oberlesach również, ale niżej]. Płatność reguluje się, poprzez wrzucenie 3€ do bańki na mleko z napisem „Kasse – 3€/Tag – Danke”. Cena nie wygórowana delikatnie mówiąc, a jakby tego było mało, to jeszcze jakieś tajemne siły umieszczają za wycieraczką regionalną pocztówkę albo prospekt turystyczny. Stąd Aga wpycha wózek do chatki w Glorergartenalm (1804). Uroczne miejsce ze wspaniałym widokiem na Kals i okoliczne szczyty. Popołudniu dołączam do żony i dziecka. Dostaję się tam bezpośrednio z Glor – wspinając się szlakiem przez strome, zalesione zbocze. Po wypiciu kawy z zagotowanej na piecu górskiej wodzie (i oczywiście nakarmieniu Michała) udajemy się już wspólnie drogą do samochodu. Przy okazji „zaglądamy” w bok do doliny Lesachtal i już wiemy, że będzie ona naszym celem jeszcze podczas tego urlopu.

08.09

Tym razem ruszamy nieco dalej od domu. Najpierw podjeżdżamy samochodem do Erlsbach, u wylotu doliny Defereggental. Tam, na wysokości 1549 m. znajduje się przy szosie parking. Można podjechać jeszcze parę km dalej, do Oberhausalm (1768), wtedy po drodze mijamy Patscher Alm (1685) – jest to dokładnie to miejsce, z którego kiedyś przyatakowaliśmy [Hochgall i Barmer Spitze](#). Jednak ta trasa jest już płatna, a bilet kosztuje 6€. Tego dnia z wózkiem dotarliśmy do Seebachalm (1879) i postanowiliśmy zawrócić. Ale... wg mapy droga prowadzi znacznie dalej. Mija Jagdhausalmen (2009) po stronie austriackiej i wspina się na przełęcz Pass di Gola (2288) na granicy z Włochami. Następnie schodzi w dół, zagłębiając się w teren włoskich Dolomitów. Może jest to potencjalna trasa na kilkudniowy rajd z dzieckiem w wózku? Jeśli ktoś to sprawdzi to proszę o taką informację. Wracając wstąpiliśmy do znajdującej się przy parkingu w Oberhausalm restauracji. Zamówiliśmy suty obiad składający się ze świni w kapuście i zaczęliśmy zjadać się na raty, bo Michałek domagając się uwagi konkurował ze świnią. Widząc to, właściciele postanowili się Małym zająć. Nosili go na rękach i rozmawiali z klientami, co bardzo ucieszyło tego naszego małego społecznika, Obywatela Świata. Po skończonym posiłku okazało się, że nie mamy pieniędzy, bo portfel został na dole w aucie. Ugadałem się, że zostawię żonę i dziecko jako zabezpieczenie i ruszyłem biegiem w dół. Niestety już po paru krokach dała o sobie znać w moim brzuchu świnia w kapuście. Nie tylko nie mogłem biec, otóż ja ledwo mogłem chodzić. Do tego potwornie zachciało mi się pić (w ramach oszczędności oczywiście posiłek zamówiliśmy „na sucho”). Życie uratowało mi zjeżdżające z góry starsze małżeństwo (a jakżeby inaczej, od tygodnia nie spotkaliśmy nikogo w wieku przedemerytalnym). Zabrali mnie na stopa i w ten sposób bardzo szybko znalazłem się na dole. Oczywiście wróciłem już samochodem, żeby nie prowokować świni do wyjścia z powrotem. Po drodze minąłem schodzącą żonę (z wózkiem), która wyswobodziła się z niewoli grożąc użyciem płaczącego dziecka. Szybko załatwiłem sprawę w restauracji (szczególnie głupio mi było, bo nie zapłaciliśmy rachunku mimo tak fachowej

obsługi przy dziecku) i wracając zgarnąłem rodzinę do samochodu. Przygoda zakończona.

09.09

Ostatniego dnia znów udajemy się do Oberlesach. Parking, bańka na mleko, 3€/Tag, widokówka za wycieraczką itd. Tym jednak razem wchodzimy we wspomnianą wcześniej dolinę Lesachtal. Znów wybieramy dojazdową drogę i nią docieramy do Lesachalmhutte (1818). Po drodze mijamy uroczą kapliczkę, wokół niej kwiaty w donicach. Aga zastanawia się, kto o te kwiaty tutaj w górach tak dba. Czytamy powieszoną kartkę: „Jeśli kwiaty mają sucho, proszę podlać” – i to jest kwintesencja tego, co można by opisywać długo i różnymi słowami. Ta bańka z napisem „Kasse”, te kwiaty... to są spotykane tu na każdym kroku dowody, jak może funkcjonować społeczność, społeczeństwo, a może i cały naród. Mimowolnie umysł podsuwa mi obrazy, jakby to wyglądało w Polsce. I wtedy źle mi się robi i myślę, czy to wina jakichś spapranych genów, czy historii, czy czego. Bo w takich miejscach raczej prędzej niż później pojawiłyby się te mordy wściekłe na cały świat, umazały sprayem słup i ścianę, spaliły śmietnik i zniszczyły z buta co dałoby się butem sięgnąć. Przecież to nic innego jak źle spożytkowana energia. I to taka energia, która wiele dobrego mogłaby zdziałać, gdyby nie to fatalne, negatywne zapętlenie. Ale to temat ponury, nie ma co go ciągnąć, tym bardziej, że pozytywnych perspektyw rozwiązania problemu póki co nie widać.

Przedstawiłem kilka tras, propozycji, gdzie można się udać z wózkiem dziecięcym. Nie każdym – o tym poniżej. I nie z każdym dzieckiem pewnie, ale ja nie wiem jak to jest z innymi, bo mam jedno. Sami sprawdźcie. My postawiliśmy na to, że Michał od urodzenia będzie poznawał świat, nawet zanim będzie miał cokolwiek do powiedzenia. I może dlatego tak dobrze to znosi?

Najbardziej istotna kwestia, jeśli chodzi o sprzęt, to oczywiście wózek. My zakupiliśmy Bob Revolution SE i powiem zupełnie szczerze – wciąż nie znalazłem wady. Pod każdym kątem uważam, że wózek jest doskonale przemyślany. Ale to nie jest

blog o wózkach, więc daruję sobie szczegółowe opisy. Co dla nas najważniejsze – świetnie się spisuje na szlakach i podczas ucieczek przed krowami.

-END-

Styl Broalpejski

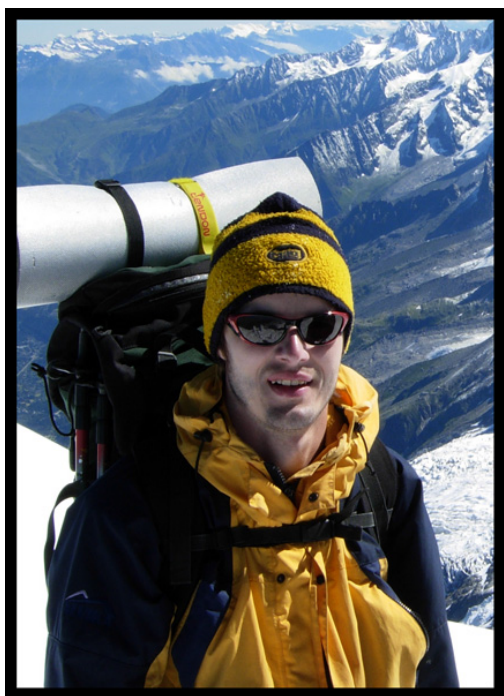
Cel – Francja – Mont Blanc – zdobyty

Kiedy – lipiec 2008

Kto – Dziku & Damian & Krzysiek

Tekst – Dziku

Zdjęcia – Dziku





Styl broalpejski z Damianem i Krzyśkiem wypróbowaliśmy już w lutym na Rysach ale nadszedł czas na sprawdzenie jego skuteczności w Alpach. I tym razem okazał się niezawodny, chociaż kiedy w poniedziałek w środku dnia popijaliśmy piwko na polu namiotowym w miasteczku trudno było uwierzyć że noc spędzimy ponad 2 tys. metrów wyżej.

A tak po kolei to: w sobotę rano przyjeżdżamy na pole namiotowe w Chamonix. Po dotarciu cieszymy się że wyszło słońce bo w trasie często lało. I dobrze, że zdążyliśmy się ucieszyć, bo następnie lunął deszcz i padał przez następne parę dni. Przez resztę soboty, niedzielę i połowę poniedziałku: deszcz, spanie, picie, deszcz, spanie, jedzenie, deszcz, spanie, deszcz, spanie, picie, deszcz, deszcz. Acha, było urozmaicenie w postaci burzy.

W poniedziałek koło południa Damian wychyla głowę z namiotu i stwierdza, że przed wejściem w magiczny sposób pojawił się karton piwek. Zanim je otworzyliśmy postanowiliśmy poczekać, czy przypadkiem nie wróci po nie poprzedni właściciel. Czekaliśmy tak dobre 3 sekundy ale nikt się nie zgłosił, więc otworzyliśmy po buteleczce (mają tam megaciotpiweńka – 0,25 l). Reszta potoczyła się jak w lutym nad Morskim Okiem. Po

piwkach nastąpił atak ADHD, a że akurat przestało padać to wyskoczyliśmy z namiotu i zaczęliśmy się pakować w góry. I tak – zamiast rozpocząć przygodę z Blankiem o świcie to my po południu fuksem pakujemy się do ostatniej kolejki i tramwaju do Nid d'Aigle – jakieś 2400 m. n.p.m. Wieczorkiem dochodzimy do ok. 3200 m. n.p.m – trochę powyżej schroniska Tete Rousse – i tu rozkładamy namiot.

We wtorek o 7 rano wchodzimy w kuluar. Tu zazwyczaj panuje niebezpieczeństwo oberwania kamykiem. Ale nie w tych dniach, bo kiedy na dole padał deszcz tu na górze x-metrowa warstwa śniegu przykryła wszelkie czające się na życie turystów kamyczki. Dochodzimy do schroniska Gouter i jako, że pora była wczesna ruszyliśmy dalej. Od wysokości ok. 4000 m. n.p.m. trochę nas sponiewierało. Skutek wysokości, całkowitego braku aklimatyzacji i ciężkich plecaków. Dowlekliśmy się do Vallota na wysokości 4362 m. n.p.m. W schronie ja i Krzysiek leżeliśmy sobie bez ochoty na nic. Za to Damian się opalał, biegał po śnieg i gotował pierożki.

W środę o świcie w całkiem dobrej formie poszliśmy na szczyt. Ogólnie to po lewej ładny wschód słońca a po prawej cień Blanca na chmurach. I mnóstwo ludzi. Trudności technicznych nie zaobserwowano. Ale wysokość może dać nieźle po łbie. Do tego uzależnienie od pogody więc zdobycie tego szczytu wcale nie jest sprawą prostą czy oczywistą. Wykorzystaliśmy 2-dniowe okienko pogodowe i dzięki temu wypad zakończył się najlepiej jak mógł. Po zejściu do Chamonix znów rozpoczęła się pora deszczowa. I znów – ale już z pełną satysfakcją – deszcz, spanie, picie, deszcz, jedzenie, picie, picie..

[Tekst z lipca 2008]

-END-

[Komentarz z września 2016]

„Wy tam strasznie dużo pijecie” – usłyszałem po którejś prezentacji. I wtedy uświadomiłem sobie, że w Polsce nie można

nadużywać słowa „pić”. Nawet odmieniając przez różne przypadki. No bo pierwsze co się nasuwa po przeczytaniu tej relacji to to, że narąbani pobiegliśmy na Mont Blanc. A ja nic na to nie powiem. Bo mi się nie chce tłumaczyć. Tylko niech nikt nie próbuje po pijaku przejechać autem tysiąc km i potem zdobywać szczyty.

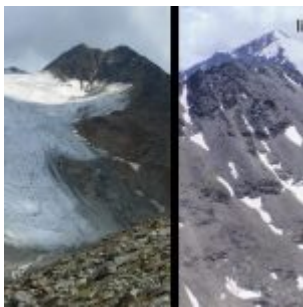
Ważniejszą kwestią, z dzisiejszego punktu widzenia, jest dla mnie to, że podjęliśmy się sporemu wyzwaniu. Dziś sobie uświadomiłem, że miałem na koncie tylko jeden szczyt 3-tysięczny. Przed Mont Blanc tylko raz, z grupą nieznajomych w dodatku, związałem się w górach liną. To, że nie było poważniejszych skutków niedociągnięć organizacyjnych lub po prostu porażki, zawdzięczamy, wg mnie, przede wszystkim naszej wytrzymałości. A i szczęście na pewno dopomogło. Podstawowy błąd, o którym nigdy nie zapomnę to to, że na całodzienną walkę ze szczytem wybraliśmy się mając... po 0,5 litra płynu na głowę (na wszelki wypadek dodam, że chodzi o herbatę).

Do Chamonix zeszliśmy jeszcze tego samego dnia, którego zdobyliśmy szczyt. Pamiętam też, że była jakaś historia z jedzeniem. A właściwie jego brakiem. Na dole nie mieliśmy żadnych zapasów, a sklepy były już pozamykane. Na pewno kiedyś jeszcze spotkamy się z Damianem i Krzyśkiem i powspominamy te i inne historie związane z naszym pierwszym czterotysięcznikiem. Oczywiście przy herbacie.

Z tym lekkodusznym podejściem wiążą się też pewne skecze. Jak np. konfrontacja na wysokości 3200 m Damiana w krótkich spodenkach z Azjatami w puchowych strojach. Albo kiedy leżąc na karimacie przed Vallotem wykrzeszałem z siebie siły by wstać, ściągnąć koszulkę i zupełnie poważnie powiedzieć: „Zrób mi zdjęcie na naszą klasę”.



Szlak prowadzący do miasta. W tle Similaun.



Na grani niedaleko szczytu



Widok ze szczytu

Zdjęcia kolejno rzędami:

1. Podejście do Tete Rousse (zdjęcie spod schroniska)
2. Obozowisko przy Tete Rousse
3. Spojrzenie w kierunku słynnego kułuaru Rolling Stonesów
4. Bionassay
5. Droga od starego schroniska Gouter na Dom du Gouter
6. Wysokość ok. 4000 m
7. Podejście na Dom
8. Spojrzenie z Dom du Gouter na Vallot i na szczyt Mont Blanc
9. I widok w stronę przeciwną, z Vallota na Dom du Gouter.
10. Aguille du Midi
11. Pierożki w Vallocie
12. Mrówki po sznurku na szczyt
13. Cień MB na porannej mgiełce
14. Ekipa na szczycie
15. Dzik na MB po raz pierwszy
16. Zejście granią
17. Widok na obozowisko powyżej starego schroniska Gouter.
18. Dzikątko
19. Krzyś
20. Damianek